RÓK DRUGI.

№ 8.

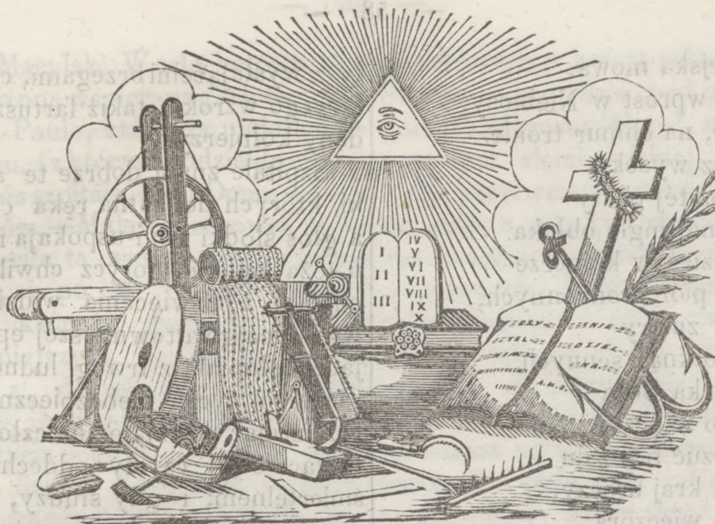
Warszawa

Dnia 10 (22) Lutego

1857.

Niedziela

ZAPUSTNA.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dobrze jest, że spotykamy czasem przeciwników, i że krzywo o nas i opacznie sądzą wtedy nawet, kiedy prawe są i czyny i chęci nasze. Pobudza to nas częstokroć do pokory, a broni od próżnéj chluby. (O naśladowaniu Chr. Ks. 1 Rozd. XII).

Kowal.

Pod jesionem, pod zielonym,
Stoi kuźnia w środku sioła.
Od poranku, bez przestanku
Brzmi kowala pieśń wesoła.
Niech się cieszy, tém nie zgrzeszy,
Czemu nie ma śpiewać, czemu?....
Ręka zdrowa, trzeźwa głowa,
Nie zawinił nic bliźniemu.
Przy piosence, z młotem w ręce,
Dzień mu mignie jak godzina;
Aż wieczorem, z całym dworem
Spocznie sobie u komina.
W tym kominie, na słoninie
Zraz pieczeni się dosmaża;
Zapach jaki! — a ziemniaki!
Niepotrzeba tu kucharza....
Starsza córka, jak przepiórka
Pani matce dąży w ślady.
Stół nakrywa, dzbanek piwa
Postawiła do biesiady.
A więc kołem, za tym stołem
Siądź kowalu! z dziatwą hożą,
Pokrzep siły, by służyły,
I za łaskę dziękuj Bożą.
Téj to łaski święte blaski
Póty będą swiecić tobie,
Póki wiernie, choć przez ciernie
Będziesz chciał ją skarbić sobie.
Póki w pocie, przy twym młocie,
Pracę zrobisz tym aniołem,
Coć ustrzeże w ojców wierze
Przed próżniackich pokus kołem.
A choć kiedy przyjdą biedy,
Ból się ciężki w serce wkradnie,
Wzrok w Niebiosa!— ztamtąd rosa,
Ztamtąd balsam pociech spadnie.
Lecz dla Boga!— ta nieboga
Mała Kachna oczki mruży.
Już dziewiąta — stół się sprząta,
Jako może każdy służy.
Potem razem, przed obrazem
Klęka cicho grono całe:
Obok matki hoże dziatki,
Jak przy gruszy płonki małe.
A pacierze: *Zdrowaś, Wierzę,*
Mówi synek złotowłosy.

Stare słowa, wiejska mowa,
Przecież poszła wprost w Niebiosy.
W słońc koronie, na chmur tronie,
Bóg usłyszał ją z wysoka,
I skrzydlaty stróż téj chaty
Spłynął w srebrnéj mgle obłoka.
Twarde łoże gdzieś w komorze
Okrył blaskiem piór promiennych,
A upiory, blade zmory
Nie śmiały się dotknąć sennych.
Za to zorza, służka Boża
Zaświeciła prosto w oczy.
Wstaj Kowalu, rzuć bez żalu
Sennych marzeń kraj uroczy,
I jak wczora, do wieczora
Niech piosenka twa rozbrzmiewa;
To próżniacy klną przy pracy,
A poczciwy człowiek śpiewa!..

———

O Siostrach Miłosierdzia i sprowadzeniu ich do Polski.

—

Serdeczna miłość bliźniego,
To tchnienie ducha Bożego,
Ztąd jéj potęga i siła,
Co tyle cudów sprawiła.—

I.

Czyż nie uznamy wtém cudu, gdy zważymy, że dla owéj miłości bliźniego dziewica zwykle młoda, jaśniejąca częstokroć wdziękami, obsypana nieraz wszelkiemi darami fortuny, zrzeka się chętnie światowych uciech i rozkoszy życia, wszelkich złudzeń i nadziei przyszłości, skazując się na dobrowolne wygnanie z łona ukochanéj rodziny, aby się poświęcić całkowicie na usługi cierpiącéj ludzkości.—Jest to jedno z tych poświęceń, których starożytność nie pojmowała, a które chrześcijanizm uczynił tak naturalnem.— Nie uznamyż Ducha Bożego kierującego życiem tych czystych dziewic, które z bohaterskiem zapomnieniem o sobie, oddają się tyle ciężkiemu, ile szlachetnemu obowiązkowi czuwania przy łożu chorych i umierających?—Pokorne i ciche poświęcenie, którego świat nie zna, sława nie głosi, a którego jedyna nagroda jest u Boga.

Na czele tych zacnych i dobroczynnych istot, stoją niezaprzeczenie *Siostry Miłosierdzia*, inaczéj *Siostrami Szaremi* zwane, tak łatwe do rozpoznania po ich skromnem i surowém ubraniu. Suknia wełniana szara lub czarna, kornet biały z wystającemi brzegami, chroniący je od ciekawego wzroku, takiż fartuszek, i biały wykładany kołnierzyk.

Szpitale znają dobrze te anioły pocieszycielki, których delikatna ręka opatruje rany ciała, a głos słodki goi i uspokaja rany duszy, i słodzi u łoża śmierci, gorycz chwil ostatnich... Pełne odwagi i poświęcenia widziano je nieraz, jak wśród najgwałtowniejszéj epidemii, dziesiątkującéj osłupiałą z trwogi ludność, spełniały z narażeniem życia niebezpieczny swój obowiązek, rozcierając posiniałe już członki umierających, i łącząc swój czysty oddech z ich tchnieniem śmiertelnem; i gdy słudzy, krewni, przyjaciele opuszczali ich w obawie zarazy, widziano je towarzyszące im aż do ostatniéj chwili, i opuszczające dopiero martwe zwłoki, aby pospieszyć na ratunek innych nieszczęśliwych.

Wszędzie, gdziekolwiek ludzkość je przyzywa, wszędzie, gdziekolwiek jakie dobro jest do spełnienia, boleść do ulżenia, one tam są pierwsze, nie dając się prześcignąć nikomu w spełnieniu chrześcijańskiéj usługi. I ztądto widziano te kobiety młode i delikatne, ale ożywione siłą, jaką daje wiara i miłość bliźniego, niezważające na trudy i niebezpieczeństwa wojny, wpływ ostrego klimatu, by nieść ulgę i ratunek rannym wojownikom, rzuconym nieraz zdaleka od swéj ojczyzny, i otoczyć ich opieką i staraniami, jakie natchnąć może jedynie najwznioślejsze miłosierdzie.

Wszakże zadanie tych dziewic Bożych, nie ogranicza się na uspokajaniu i niesieniu ulgi cierpiącym.—Obok dozorczyni chorych znajdujemy w nich nauczycielkę, matkę baczną i poświęconą, któréj troskliwość czuwa zarazem nad dobrem fizycznem i moralnem dzieciństwa.—Ona to, ten wzór słodyczy i cierpliwości, wpaja w dziecinę szlachetne uczucia, zasady religijne, miłość bliźniego, któréj jest prawdziwą kapłanką, wraz z początkami nauki; ona to pielęgnuje i rozwija w tych młodych duszach, święte natchnienie, jakie Bóg zasiał w ich sercach jeszcze w kolebce; ona to jednem słowem, otwiera im księgę życia, i nauką pacierza, stawia pierwszy krok ich na drodze zbawienia.

Instytucya Siostr Miłosierdzia, liczy przeszło 200 lat istnienia.— Zawdzięcza ona swój początek pani *Legras* żonie sekretarza królowéj francuzkiéj Maryi de Medicis, córce Radcy parlamentu paryzkiego i siostrzenicy Mar-

szałka de Marillac (Marylak). W szlachetnem tem przedsięwzięciu była ona wspieraną gorliwie przez Śgo Wincentego a Paulo, który ją umieścił na czele nowego zakonu, i z którym podzieliła chwalebne dzieło założenia szpitala, czyli Domu schronienia dla podrzutków.—Majątek, zdrowie, życie nawet całe, poświęciła ta zacna niewiasta na to pobożne dzieło, i po 30 przeszło latach tego posłannictwa, którego gorliwość ani na chwilę się nie zmniejszyła, zmarła w Paryżu d. 18 marca 1662 r., doczekawszy się przed śmiercią téj radości, iż święte stowarzyszenie, dla którego 25 lat życia poświęciła, zostało ustalone wierzytelnym listem Kordynała de Retz, którego sam król francuzki nie wahał się zatwierdzić roku Pańskiego 1658.

II.

Do klęsk wojen i pożogi, jakie przez ciąg bezkrólewia po śmierci Władysława czwartego, i w pierwszych latach panowania Jana Kazimierza trapiły Polskę, przyłączyła się najstraszliwsza plaga, jaka rodzaj ludzki dotknąć może, t. j. głód i morowe powietrze; widocznie nieszczęśliwą tę krainę dotknął był gniew Boży. Pustoszały miasta, niszczały wioski, kraj się wyludniał, tysiącami brańców uprowadzali Tatarzy wgłąb swych stepów, a Bogdan Chmielnicki na czele kozaków niszczył kraj swój macierzysty ogniem i mieczem.— Nieszczęśliwy lud opuściwszy ręce, ostatniéj oczekiwał zagłady.— Chorzy zarazą dotknięci, porzucani byli bez ratunku, nie było komu przytulić kaleki lub wałęsających się dziatek; trwoga i ogrom nieszczęścia zobojętniły serca najbliższych nawet krewnych i przyjaciół.

Bolał nad nieszczęściami kraju Jan Kazimierz król polski, a Marja Ludwika małżonka jego, patrząc z okien królewskiego zamku na snujące się wybladłe cienie chorych i kalek, oraz tułające się bez opieki drobne dziatki, gorzko nieraz zapłakała, i modliła się gorąco do Boga o pociechę, pomoc i ratunek w takiéj niedoli.— I Bóg wysłuchał modły królowéj.— Zatopionej w myślach o sposobie przyniesienia ulgi tak dotkliwemu cierpieniu, przywiódł na pamięć dobroczynną instytucyę Siostr miłosierdzia, któréj zbawienny wpływ, będąc jeszcze księżniczką Mantuańską i bawiąc w Paryżu, poznała.— Podziękowawszy Bogu za to święte natchnienie, królowa z zapałem, jaki wszystkie jéj czyny cechował, zabrała się do dzieła, i z wielką jej pociechą przy końcu roku 1651, trzy pierwsze Siostry miłosierdzia, pod przewodnictwem Małgorzaty Moreaux (Moro), na znękanéj wojnami i pomorem ziemi polskiej, stanęły.

Za przybyciem swem do Warszawy, zajęły się zaraz z całą gorliwością i poświęceniem, wyszukiwaniem i opatrywaniem po domach zapowietrzonych, których wszyscy opuścili, oraz zbieraniem po ulicach chorych i sierot, mieszczeniem ich po izbach i domach, jakie im tymczasowo na mieszkanie przeznaczone zostały, w pobliżu Kościoła Sgo. Krzyża; a gdy wreszcie zaraza ustała, i zakonnice znaleść mogły kilka chwil wytchnienia od usługi chorym, chwile te poświęcały nauce sierotek płci żeńskiéj.

We dwa lata po ich przybyciu, kiedy królowa zagrożona najściem przez Szwedów stolicy, opuścić ją widziała się zmuszoną, zabrała także z sobą i Siostry miłosierdzia naprzód do Krakowa, następnie zaś do Szląska— a te, przy toczącym się podówczas boju, trudniły się po drodze opatrywaniem rannych żołnierzy.

Po wyparciu nieprzyjaciela, powróciwszy wraz z królową do Warszawy, umieszczone zostały w jednym z dawniejszych pawilonów Kazimierowskiego pałacu, gdzie się poprzednim zajęciom oddały.

Marja Ludwika widząc błogie owoce, jakie sprowadzenie Siostr miłosierdzia dla kraju wydało, zamierzyła nadać trwalszy byt téj dobroczynnéj instytucyi, jak przezorna matka, troskliwa o przyszłość młodego pokolenia; bacząc nadto na wiele pozostałych bez przytułku sierot w skutek wojen i pożogi, pragnęła, aby Siostry miłosierdzia macierzyńską nad niemi rozciągnęły opiekę. Tym celem nabyła na własność zgromadzenia folwark Kałęczyn pod Warszawą, nad Wisłą obok Solca leżący. — Na jednym z jego placów, *Glinki* zwanym, zabudowania drewniane i takiż kościołek wystawić kazała, i w tych Siostry miłosierdzia stale umieściła (roku 1659).— Kościół pomieniony ufundowała Marja Ludwika pod nazwą Śo Kaźmierza, na pamiątkę Śo Królewicza polskiego, tegoż Imienia.

Późniéj nieco do daru tego dołączyła królowa nabyte za własne jéj pieniądze dobra Pęchory, o milę do Piaseczna położone, z przyległościami: Runow, Bogatki, Grochów, Wolka z częścią na Jazgarzewie — oraz summę Złp.

30,000 na kupno przyległego folwarku Łbiska, i te na wieczne czasy nadała Zgromadzeniu.

Tak hojną opatrując je ręką, miała królowa na celu coraz większy rozwój tej dobroczynnéj instytucyi; oprócz albowiem obowiązku dozoru Szpitala i nauki młodych sierotek, żądała, aby Siostry miłosierdzia zajmowały się kształceniem dziewcząt niezamożnych rodzin, przysposabiając tym sposobem na pożyteczne dla kraju obywatelki, poczciwe żony i dobre matki; a nadto wyszukiwaniem chorych po przedmieściach i miejscach opustoszonych, udzielaniem im pożywienia i pomocy lekarskiéj.

Królowa bacząc na tak rozległe obowiązki, którym szczupła dotychczasowa liczba Siostr wystarczyć nie była zdolną, w następnym zaraz roku 1660 sprowadziła z Paryża drugie trzy Siostry miłosierdzia, do pomocy pierwszym. Obok tego wystawiła królowa przy kościołku odosobniony budynek, do którego zakonnice zbierać miały ubogich chorych, i dawać przytułek biedakom, przybywającym do miasta, a niemającym schronienia.

Chcąc wreszcie zapewnić z czasem usługi tego dobroczynnego zakładu dla reszty kraju, wyjednała, iż klasztor Warszawski został władzą w Zgromadzeniu, z prawem rozsyłania Siostr na prowincyą, i tym celem założyła tak nazwane *Seminarjum* czyli *Nowicyat*, dla kształcenia na Siostry miłosierdzia dziewic, pragnących się poświęcić ludzkości. Seminarjum to wraz z całem Zgromadzeniem, według reguły przez Sgo Wincentego a Paulo przepisanéj, oddanem zostało raz na zawsze pod opiekę, kierunek i zarząd Wizytatora Księży Missyonarzy, którym był podówczas (r. 1660) ksiądz Wilhelm Desdames (Dedam).

Ustalone tym sposobem i powiększone Zgromadzenie mieściło się przez długi czas w owych drewnianych zabudowaniach, utrzymując początkowo 15 jedynie ubogich sierot.— Dopiero w r. 1699 ze szczodrobliwości ówczesnych, głównie zaś arcybiskupa Gnieźnieńskiego, Biskupa Poznańskiego, oraz Wizytatora księży Missyonarzy, księdza Bartłomieja Tarły, jak również z uzbieranych przez nie same jałmużn i oszczędności, wymurowany został gmach czworoboczny z kaplicą, w którym do dziś mieści się Instytut Siostr miłosierdzia Śgo Kazimierza.

W miarę zwiększonéj dobroczynności publicznéj, a z nią pomnożonéj liczby szpitali i innych zakładów dobroczynnych, dała się uczuwać, jak to trafnie powiedziała królowa, coraz silniejsza potrzeba, poruczania ich nadzoru Siostrom miłosierdzia.— Przy nowicyacie jednak, do którego młode polskie dziewice chętnie się garnęły, Instytut był w możności uczynienia zodosyć owéj potrzebie. Jakoż z postępem czasu doszło do tego, że w r. 1794 Siostry miłosierdzia utrzymywały w kraju 34 szpitali.

Zgromadzenie to długo zostawało pod zarządem Jenerałek francuzkich. Wizytatorki nawet ciągle z Francyi przysyłane, namiestniczą tu sprawowały władzę; dopiero kiedy rewolucya francuzka r. 1789 przerwała bliższe stosunki Zgromadzenia warszawskiego z paryzkiem, poraz pierwszy obrano w miejscu Wizytatorkę. Była nią Ernestyna de Hunt; — Marjanna Bożuchowska nastąpiła po niéj, a dzisiejsza, pełna zasług Tekla Żukowska, jest trzecią z rzędu polką, zarządzającą Zgromadzeniem.

Głównym obowiązkiem Wizytatorki był zarząd całego Zgromadzenia, jego funduszów, oraz zwiedzanie peryodyczne szpitali; wszakże od r. 1842, to jest od czasu zaprowadzenia nowéj Ustawy o zakładach dobroczynnych w Królestwie, obowiązek Siostr miłosierdzia, tudzież przełożonéj ich Wizytatorki nieco się odmieniły.— Fundusze albowiem, któremi dotąd same zawiadywały, przeszły pod zarząd właściwych Rad Szczegółowych Opiekuńczych; przy Siostrach zostało jedynie wewnętrzne gospodarstwo.— Wizytatorka zaś zachowała po większéj części tylko władzę służącą Przełożonym zgromadzeń zakonnych. Do niéj należy przyjmowanie kandydatek do Zgromadzenia, rozsyłanie Siostr po szpitalach w miarę potrzeby, oraz czuwanie nad ich postępowaniem; krócéj mówiąc, część Religijno-moralna, bez kierunku w zarządzie administracyjnym.

Obecnie Siostry miłosierdzia w obrębie teraźniejszego Królestwa polskiego trudnią się dozorem i pielęgnowaniem chorych w 16tu szpitalach, oprócz głównego Domu Śgo Kazimierza, a mianowicie:

1. *W Warszawie.*

a) U Dzieciątka Jezus, *b*) u Śgo Ducha czyli PP. Marcinkanek, *c*) u Śgo Rocha *d*) w Towarzystwie Dobroczynności *e*) w Instytucie Oftalmicznym.

2. Na prowincyi.

a) W Lublinie, *b*) w Szczebrzeszynie, *c*) w Radzyniu, *d*) w Biały, *e*) w Mieni, *f*) w Janowie,

g) w Pułtusku, *h*) w Płocku, *i*) w Sandomierzu, *k*) w Kurozwękach i *l*) w Wilanowie.

Siostr miłosierdzia na każdym z pojedyńczych funduszów jest najmniéj trzy, a najwięcéj 25.— Ogólna zaś liczba Siostr miłosierdzia w całym kraju wynosi osób 200, licząc w to 40 Siostr ciągle w Instytucie ś. Kazimierza zamieszkujących.

Pan Marcin Jarzyna.

Nad Wisłą, poza Trynitarzami na Solcu, na wyniesionym wzgórku, stoi dotąd dworek drewniany, już nieco zapadły w ziemię, ale jeszcze cały. Ściany znać na nich że stare, dawne lata pamiętają, a dach bieleje, bo niedawno nowemi gontami pobity.

Dworek ten z małą facyatką na piętrze, przedzielony sienią wychodzącą na podwórze, ma tylko dwa mieszkania: drzwi z prawéj strony prowadzą do warsztatu stolarskiego, z lewéj zaś do mieszkania pana Marcina Jarzyny, którego był własnością ten dworek wraz z dwiema jeszcze oficynkami, stojącemi wzdłuż obszernego podwórza.

Pan Marcin Jarzyna, stary dworus i żołnierz, od lat już wielu usunąwszy się w ten zakątek cichy, mieszkał razem z synową wdową i trzema wnukami.

Był to starzec już w latach podeszły, krzepki i czerstwy, wysokiego i smukłego wzrostu, ale wiek go nachylał nieco. „Święta ziemia ciągnie k' sobie." (mawiał nieraz, kiedy nie mógł jak dawniéj wyprostować kości swobodnie); żyłoć się prawda dosyć na świecie, ale radby człek dochował wnuczęta."

I żałośnie spoglądał po trzech dzieciakach, co się uwijały po izbie. Najstarszy z nich Jacek, miał lat 12; chodził do szkółki elementarnéj; młodszy Janek dziesięcioletni pracował w warsztacie u stolarza naprzeciwko; najmłodszy Piotruś w szóstym roku, zbijał sobie bąki w domu.

Pani Józefowa *wdowa*, jak ją zwykle zwano, pracowita i pobożna kobieta, zajęta dzień cały trudami gospodarstwa, nie miała czasu uważać na postępowanie chłopców; ale pan *Marcin* trzymał ich surowo, i nie dozwalał im brykać. Wyrozumialszym był tylko dla najmłodszego Piotrusia, a największego swego ulubieńca. Żarcikami, zabawką, wyuczył go już dobrze czytać, i on był zawsze towarzyszem wycieczek p. Marcina. Latem, wiosną i pogodną jesienią, co dzień Pan Marcin to szedł do Kościoła na mszę świętą do Trynitarzy, to na przechadzkę ponad Wisłę, patrzeć na płynące tratwy z drzewem, galary, berlinki i statki parowe. Nieraz nawet po wieczerzy, już nietylko z Piotrusiem, ale ze wszystkiemi wnukami, wychodził nad rzekę, chłopcom biegać pozwolił, a sam siadał na kłodzie, i patrzał długo na Wisłę, a dumał. Piękny bo widok rozwijał się przed jego oczyma. Szeroka rzeka szumiała, galary i tratwy stały w przystaniach, na nich flisy, oryle porospalali ogniska, to gotując wieczerzę, to grzejąc przeziębłe ciała. Jakeś spojrzał wtedy przy ciemniejszéj nocy po Wiśle, to zdawało się, że na szczeréj wodzie same ognie się palą. Nieraz jak się stary zadumał, to aż synowa napędzała dziatwę do snu, i samemu *Jegomości* przypominała, że czas do łóżka, aby jutro wstać rano,

Starzec budził się wtedy jak ze snu, wzdychał ciężko, i szedł w milczeniu do domu; a miał o czem dumać. Siedmdziesiąt lat przeżytych to na dworach wielkich panów, to w trudach wojennych, nasuwały mu do głowy wspomnienia jak roje pszczół, co do ula z miodem uzbieranym nadlatywały. Lubił on te wieczory ponad Wisłą, tęsknił za niemi, gdy teraz wśród zimy, ślizgoty i zadymki śnieżnéj, musiał w izbie siedzieć, nie mogąc głowy wychylić na świeże powietrze.

Trzy już dni śnieżyca zakryła świat Boży, po niéj deszcz gęsty, a drobny jak morszczyzna padał, nareszcie mróz schwycił, i ślizgota taka, jakby ulice szkłem wyłożył. Cała rodzina zamknięta w domu, siedziała smutnie, bo p. Marcin do szkółki nawet nie puścił Jacusia.

Wieczór był, na kominku ogień wesoło oświecał izbę, przy którym gotowała się wieczerza. Starzec na ławie siedząc, dorzucał polanka drzewa, Piotruś niby mu pomagał, a w rzeczy patrzał zpod oka, czy w garnku gotują się kartofle— gdy nagle dziadek zwrócił głowę, i spojrzał na stół, przy którym uczyli się Jacek i Jasio. Nie dojrzał, co było pomiędzy nimi, ale słyszał dobrze, jak coś klasnęło, choć chłopcy siedzieli spokojnie, i jak Jacek grożąc bratu, zcicha przemówił:

„Sprawię ja ci gorącą łaźnię."

— Piotrek! zawołał groźnie dziadunio, przynieś-no mi *palczaste skrzypki* zza zwierciadła. Piotruś poskoczył, i już sięgał za duże zwierciadło w dębowych ramach, ale się jeszcze zatrzymał i patrzał z przestrachem w oczy dziadka. Jacek i Janek skulili się jak trusie, każdy z nich

zaczerwienił się jak burak, stulił uszy, niby zając, kiedy zmyka przed chartami. Stary widział dobrze ten przestrach wnuków, a co go rozbroiło, to mały Piotruś, który bał się wyciągnąć na braci pięcio-palczastą dyscyplinę, i sam drżał z obawy.

Piotruś! na miejsce, zawołał jeszcze gniewnym głosem, a wy łotry! jak mi jeszcze raz będziecie się czubić, to ja was nauczę gwizdać po kościele. Jacek! Janek! do mnie; stanąć frontem i gadać, co było pomiędzy wami?

Obaj chłopcy spokojniejsi już, widząc, że palczaste skrzypki nie zagrają, bo leżą nietknięte za zwierciadłem, potulnie stanęli przed dziadkiem, spuścili oczy i milczeli.

— O! widzicie tych wilczków w baraniéj skórze (mówił dziadek już udobruchany i z wesołém obliczem), jak to stoją, niby trzech zliczyć nie umieją. Gadajże mi zaraz jeden i drugi, dlaczegożeście się poczubili?

—Proszę dziadzi, bąkał Janek, Jacuś wziął mi pióro, niechciał oddać, takem go....

— A zaraz do bitwy, jak koguty! a Jacuś?

— Ja mu chciałem oddać, ale dziadzio spojrzał...

— Widzisz go, jaki mi do pogróżek! Toś Jankowi obiecał sprawić gorącą łaźnię?..

— A tak, proszę dziadzi.

— Wiesz ty, coś powiedział?—co to ma za znaczenie?

— Proszę dziadunia, ozwał się mały Piotruś, ja wiem, co znaczy; to, że mu skórę wylata, jak tylko dziadzio nie będzie widział.

P. Marcin pokręcił głową, uśmiechnął się a biorąc zlekka za czuprynę Piotrusia:

—Wiem ja, rzekł, że wy to tak rozumiecie, ale czy wiecie, zkąd to poszło?

— Nie wiémy, zawołali razem wnukowie, ośmieleni dobrym humorem dziadka.

Jak będziecie grzeczni po wieczerzy, to wam powiem całą historyą. A teraz Jacuś z Jankiem pocałować się, braterska zgoda, a ty Piotrek proś pani matki o wieczerzę.

Chłopcy skoczyli co żywo, sami stół nakryli. Dziadek z matką śmieli się z téj usłużności dziatwy. Po wieczerzy Pani Józefowa swoim zwyczajem pocałowawszy w rękę dziadunia, rzekła:—No chłopcy! do pacierza teraz, a potem spać.

— Niechno Jejmość pozwoli, moja pani Józefowa. Samiście się napracowali, to i z Bogiem spoczywajcie, a my tu z chłopcami pogawędzimy trochę. Już ja ich napędzę do pacierza i do łóżka. Bo to widzi Jéjmość, muszę im opowiedzieć historyę jednę; a to zawsze nauka, i dobra nauka. Co się teraz nasłucha, to tak jakby zdrowe ziarno w świętą naszą ziemię zasiał, zawsze plon będzie.

Matka przeżegnawszy dziatwę, poszła do stancyi swojej na spoczynek, pan Marcin dorzucił parę polanek brzeziny na komin, usiadł na ławie, Piotruś na małym stołeczku siedział w nogach dziadka, a Jacuś i Janek stali przy kominie ze zwróconemi oczyma ciekawie na starca.

— Teraz moje chłopcy, uszy do góry, a dobrze słuchać, co będę mówił. A o czemże to miałem wam opowiedzieć?

— A to proszę dziadzi, o gorącéj łaźni, wyprzedzając braci, zawołał Piotruś.

— Dobrze więc, słuchajcie.

Już to temu bardzo dawno, bo więcéj jak pół tysiąca lat, był król polski, a zwał się Bolesław. Że to był wielki wojownik i pan mądry, a bardzo waleczny, jedni go zwali *Chrobrym* czyli mężnym, a drudzy *Wielkim*. Był on synem Mieczysława, co pierwszy wiarę świętą chrześcijańską wprowadził do Polski. Ugruntował wielkie nasze królestwo, i na znak granic powbijał żelazne słupy w Dnieprze i w Ossie, dwóch rzekach. Ludzie gadali, że w tych słupach były otwory, to jak fale rzeki wzburzyły się, tak zaraz dziwnie a cudnie w nich grało, jakby muzyka śliczna.

Miał miecz zwany *Szczerbiec*, który mu podał anioł z nieba; pozostał po nim, i długo królowie polscy, używali go przy koronacyach swoich. Król Bolesław Chrobry jak był mężny i waleczny a sprawiedliwy pan, tak zarazem i popędliwy. Zdarzyło się, że kilkunastu młodzieńców z pańskiego rodu, coś bardzo zawinili; jak król się o tem dowiedział, zaraz kazał ich pochwytać i potracić. Ale matki i ojcowie wpadli do zamku królewskiego, i do nóg królowéj Judyty żony królewskiéj rzucili się z płaczem. A była to pani wielkich cnót, wielce nabożna i miłościwa. Na ten płacz straszny matek i ojców, zakrwawiło się jéj serce; dała więc rozkaz, aby wzięto owych młodzieńców do więzienia, ale żeby ich nie tracono. I stało się woli królowéj zadosyć, a królowi powiedziano, że wszystkich stracono.

Raz przy wesołéj uczcie, kiedy król Bolesław był bardzo wesół i ochoczy, jeden z panów nasadzony przez królowę, zaczął żałować owych niby straconych młodzieńców, chwaląc ich, że choć zawinili, ale mogli być z nich dobrzy

żołnierze. Król jak był popędliwy, tak miał dobre serce; począł przeto żałować, że tak młodo kazał ich zgładzić ze świata. Wtedy królowa Judyta rzekła.

— A cóżbyś zrobił panie! żeby jakim cudem zmartwychwstali?

— Darowałbym im winę, i Bogu za to dziękowałbym gorąco.

Wtedy królowa kazała przyprowadzić wszystkich więźni, i z nimi razem przed królem padła na kolana, prosząc o łaskę.

Król Bolesław wielce uradowany, podniósł żonę z ziemi, a młodzieńcom przebaczywszy, wziął ich z sobą, jak miał zwyczaj, do łaźni, i tam dla pamięci, dobrze ich rózgą obiwszy, napomniał jak ojciec, i dał im w darze nowe suknie. I z tego to moje dzieci poszło to groźne przysłowie: *Sprawię ja ci gorącą łaźnię*, którego znaczenie Piotruś tak pięknie wytłumaczył.

A teraz chłopcy do pacierza, a potem spać; a strzeżcie się, żeby dziadek nie pogroził któremu, że mu sprawi gorącą łaźnię; bo wtedy *palczaste skrzypki* zagrają wam płaczliwego tańca.

Chłopcy uradowani ucałowali ręce dziadka, odmówili pacierze, i wkrótce zasnęli. Starzec tylko pozostał sam, a ogarnąwszy ogień na kominku, odmawiając modlitwy wieczorne, legł na swojem łożu, i długo wnoc jeszcze dumał o latach swojéj młodości, nim sen zakleił mu powieki.

Wapno, Gips, Kreda, Cement.

Wapno używane do murowania, otrzymuje się z kamienia wapiennego, minerału znajdującego się niemal na całej kuli ziemskiéj, najwięcéj jednak w krajach górzystych; często bowiem wielkie góry lub całe okolice górzyste są z kamienia, albo gruntu wapiennego. Jest zwyczajnie koloru szarego.

Chcąc otrzymać wapno przydatne do murowania, należy kamienie wapienne w urządzonych do tego piecach należycie wypalić; tak wypalone wapno nazywa się *niegaszone*. Wówczas jest ono białe, albo też blado-szare, i łatwo daje się kruszyć; rozsyłane bywa w beczkach.

W naszym kraju okolice krakowskie dostarczają nam w dużéj ilości takiego wapna, Wisłą na galarach sprowadzanego. Przy transportowaniu zważać należy, aby beczki były w dobrym stanie, gdyż wapno przez deszcz zamoczone, zagrzewa się, czyli jak mówią *gasi się*, przyczem beczki pękają, i cały transport uledz może spaleniu.

Do użytku przeznaczone wapno rozrabia się wodą, w skrzyniach do tego urządzonych; tę robotę mularze nazywają *lasowaniem* czyli gaszeniem wapna. Rozrobioną massę wapienną spuszcza się w doły, gdzie zgęstniała pozostaje choćby i wiele lat; bo im wapno gaszone dłużéj leży, tem jest lepsze i trwalsze w użyciu.

Do murowania użyte wapno gaszone, rozczynione być musi wodą, z dodaniem wedle potrzeby piasku, cegły miałko tłuczonéj, lub innych glinek palonych. Nie każde wapno zarówno do wszelkich robót użyte być może. I tak do robót podwodnych używa się wapno *wodotrwałe* czyli *hydrauliczne*, to jest prędko twardniejące pod wodą. Takie wapno znajduje się u nas w Augustowskiem, gdzie korzystnie użyte było przy budowie kanału Augustowskiego.

Gips.

Najwięcéj zbliżonym minerałem do kamienia wapiennego jest gips, znajdujący się w stronach obfitujących w wyżéj opisany minerał. Do użytku musi być wypalony i następnie zmielony na miałką mączkę. Taki gips posiada tę własność, iż zarobiony z wodą twardnieje na powietrzu; z tego więc powodu przydatny jest do wszelkich robot sztukatorskich, to jest do ozdób w domach. Wyrabiają z niego także całkowite figury i inne rzeźby, służące do upiększenia budynków. Używa się nadto w niektórych razach w miejsce wapna; rozczyniony znaczną ilością wody używa się do bielenia ścian i t. d. Jak wapna niegaszonego, tak i gipsu używają również jako nawóz na pola.

Kreda.

Kreda jest massą wapienną, koloru białego mniéj twarda jak kamień wapienny; znajduje się w wielkich pokładach, najczęściej w nadbrzeżach morskich krajów północnéj Europy, jakoto Anglii, Danii, Prusach północnych, niemniéj w jednéj francuzkiej prowincyi, to jest Szampanii. Użytek jéj do pisania i rysowania wszystkim jest znany; oczyszczona z piasku i innych nieczystości przez szlamowanie, używaną bywa do farb, do fabrykacyi laku, do kitu szklarskiego, do bielenia, gruntowania ścian, do czyszczenia metalowych naczyń, i wielu innych rzeczy.

Do kraju naszego sprowadzaną bywa Wisłą na berlinkach z Danii, a częściéj jeszcze z Prus-

północnych z miasta Szczecina, gdzie są najznaczniejsze zakłady szlamowania kredy. U nas w Lubelskiem, a szczególniéj w okolicy Chełma znajduje się obfity pokład kredy, z którego znaczna ilość kredy do handlu sprowadzaną bywa.

Cement.

Pod nazwą cementu znany jest materyał umielony na proch, którego używają w niektórych razach do murowania, zamiast wapna. Cement posiada własność, że rozczyniony wodą, prędko twardnieje, i silnie spaja części nim złączone; nadto, że na wilgoci nawet np. w wodzie również prędko twardnieje i nie rozmięka. Dlatego też używają go do murowania fundamentów w domach, na wilgotnym gruncie stawianych, do murowania budowli w wodzie, jakoto: mostów, młynów wodnych i t. p.; używa się także do tynkowania domów, gzymsów i t. d.

Cement jest dwojaki; *naturalny*, jest to ciemnobrunatna glina, którą kopią, po wypaleniu mielą, przesiewają, następnie pakują w sucho beczki, i tak rozsyłają do wszystkich krajów, które go nie posiadają. Najlepszy cement znajduje się w Anglii.

W kraju naszym kopią także cement; nie jest on wprawdzie tak dobry, ale za to tańszy.

Drugi gatunek cementu jest *sztuczny*; robią go z gliny palonéj i wapna, z dodaniem niektórych glinek i minerałów.

Kominiarczyk Królewski.

(Podanie prawdziwe).

Król Stanisław August Poniatowski, zwykle po obiedzie godzinę sypiał, a miał po temu zaszklanym parawanem sofkę wygodną, gdzie niewidziany od nikogo spoczywał. Kiedy się zabierał do téj drzymki, zdejmował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi, i składał to wszystko na małym stoliczku przy marmurowym kominie.

W dniu jesiennym, pochmurnym, po obiedzie już się król położył i zaczął drzymać, kiedy usłyszał jakiś łoskot ponad sufitem pokoju, który się coraz więcéj zbliżał, i stawał wyraźniejszym i głośniejszym. Król podnosi głowę: słysząc łoskot ten w samym pokoju, zerwał się i usiadł na sofce, patrząc zza szklannego parawanu, co to być mo gło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaszeleściło, i z czeluści jego wyskoczył mały, zawalany kominiarczyk, dziecina mająca może siedm lat lub ośm najwięcéj. Chłopczyk skoro przetarł oczy z sadzy, ujrzawszy tak pięknie pokój przystrojony, najprzód zdjął czapkę, potem się przeżegnał, myśląc że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł, i z uśmiechem poglądał, co będzie daléj robił kominiarczyk. Ten oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmieléj, a nie widząc nikogo, bo króla dobrze parawan zasłaniał, dojrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole; powkładał więc sobie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, a włożywszy zegarki za koszulę, zwiesił bogate i duże dewizki na brzuch, i tak wystrojony stanął sobie przed wielkiem zwierciadłem. Jak się przejrzał, tak był rad, że się sam sobie ukłonił, po czém zaczął zlekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie, a patrzał z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo chłopak zmęczony, po chwili spoczynku, zdjął pierścienie, łańcuch i zegarki. Wszystko na dawnem miejscu ułożył, a gdy się opatrzył, że nic przy nim nie zostało, przeżegnał się i znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena, kazał zaraz się dowiedzieć o chłopcu, i żeby go przyprowadzono. Wyszukano kominiarczyka, umyto i ubrano czysto. Z pod czarnéj sadzy, wyjrzała twarzyczka czerstwa, wesoła, z rozumném spojrzeniem. Król się go spytał czy to on co przybierał się w pierścienie i złote łańcuchy, a gdy chłopczyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do téj winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłéj ze strachu twarzy, dał mu piękny prezent, i kazał go uczyć w szkołach; bo ośmielony łaską monarszą, oświadczył chęć do nauk, a porzucenie stanu kominiarskiego.

Nazwano go odtąd *kominiarczykiem królewskim*; w szkołach nawet nosił ten tytuł, z którego się nawet już w młodzieńca wyrosły, chlubił. W kilkanaście lat wszedł do wojska; służył w artyleryi, i w 1792 r., w oczach księcia Józefa Poniatowskiego, celując działo, od kuli armatniéj poległ.

Król dowiedziawszy się o śmierci *kominiarczyka królewskiego*, wielce go żałował, bo z tego małego chłopczyny wyrósł żołnierz równie zdatny jak waleczny.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 6 (18) lutego 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.